

# In statu nascendi

O animozjach na linii WSP - Politechnika, narastających w miarę upływu lat, mówiło się w Zielonej Górze od chwili powstania drugiej uczelni, Wyższej Szkoły Nauczycielskiej. Swoistego smaczku wokół tych dyskusji dodała decyzja lokalizacyjna, sytuująca obiekty uczelni humanistycznej na przeciwległym, zachodnim krańcu miasta. Starsza uczelnia, WSI, od 1965 roku ulokowała swą siedzibę na wschodzie Zielonej Góry. Za starego systemu oś wschód – zachód była już wystarczającym powodem do wartościowania w konwencji politycznego żartu. Jednak natura tej animozji jest o tyle ciekawa, że swą moc wywodziła raczej z „miasta” niż z samego środowiska. Owszem, kręgi akademickie też bawiły się w uszczypliwości. – Panie kolego – mówił „ścisłowicz” w epoce późnego Gierka – WSP ma nieocenione zasługi dla życia towarzyskiego w mieście. Potrafiła wprowadzić do użytku umysłowego niemal wszystkie żony partyjnych notabli, czyniąc je, za przeproszeniem, magistrami zaocznej pedagogiki kulturalno-oświatowej! – Obawiam się, że zasługi WSI są daleko większe – odpowiadał „humanista” – mężów owych żon, decydentów, na intensywnych kursach uczyniliście wysokiej klasy specjalistami, a rękę „profesjonalisty” czuje się, jak jasna cholera, nie tylko w mieście, ale i w dalszej okolicy...

Kiedy wiosną ubiegłego roku dojrzewała decyzja o połączeniu uczelni, lokalna prasa karmiła się tym stereotypem niechęci aż nadto. Przypominam sobie rysunek komentujący artykuł o jednoczeniu – dwa zawzięte kundły z najeżoną sierścią i wystrzeżonymi kłami. Aby nierozgranięty czytelnik nie miał żadnych wątpliwości – jeden piesek wabił się „WSP”, a drugi wielorasowicz - „Politechnika”. Kiedy integracja była już właściwie przesądzona, grafik gazety zdobył się na portret rektorów-nowożeńców, którzy przyoblekli szatki ślubne – z lekką sugestią, że małżeństwo nie jest co prawda z miłości, a jedynie z rozsądku. A zaraz pod spodem, że u studentów jest inaczej (ale to wyjątek od żelaznej reguły!), bo Magda z Politechniki kocha Jarka z WSP.

Za nami pięć miesięcy pryszczatego okresu dojrzewania do jedności środowiska. Mylili się entuzjaści twierdząc, że sam akt połączenia załatwi wszystkie problemy, a nowa uczelnia stanie się od razu dobra i „europejska”. Europejska, bo prezentuje coraz częściej występującą na Zachodzie model uczelni wieloprofilowej – od humanistyki, dyscyplin ścisłych po nauki techniczne. Eksperyment w Polsce zupełnie nowy.

Tworzenie nowej uczelni przez połączenie dwóch już istniejących jest zabiegiem daleko trudniejszym niż budowanie od nowa. WSP i starsza od niej Politechnika posiadały swe

kilkudziesięcioletnie tradycje, własne priorytety, cele strategiczne, których osiągnięcie gwarantowało właściwą pozycję wśród innych uczelni. Posiadały wreszcie ukształtowane mechanizmy, wokół których kręcił się kierat codziennych spraw. Bez przesady można powiedzieć, że z chwilą utworzenia uniwersytetu zderzyły się dwa autonomiczne światy, dwie różne kultury organizacji działań czy metod postępowania. Trudno w takiej sytuacji uniknąć poważniejszych, czy tym bardziej - drobnych konfliktów. Kiedy do tego dodamy licytację, która z uczelni miała wyższe osiągnięcia i bogatszy dorobek, także ten materialny – pole konfliktów staje się daleko obszerniejsze. I nie ważne już wtedy są fakty, wystarczą osobiste odczucia i przekonania. Paskudną pasją sporej części Polaków jest życie przeszłością, karmienie się zadawnionymi krzywdami, pamiętliwość i żądza odwetu. Społeczności, które osiągnęły sukces, patrzyły zawsze do przodu. Dla wielu kompromis ma konotacje ostro negatywne, jest instytucją drobnomieszczańską, dobrą dla kupców, a nie narzędziem zdrowego rozsądku, pomocnego w budowaniu wspólnej drogi.

Rada Główna Szkolnictwa Wyższego, swoisty parlament polskich uczonych, ogłosiła w grudniu standardy edukacyjne w szkolnictwie wyższym. Do takich zalicza m.in. europejski system punktów kredytowych (ECTS), zapewniający mobilność studentów w Polsce i w krajach europejskich, zapewnienie realizacji toku studiów zgodnego z zakładaną sylwetką absolwenta oraz posiadanie wewnętrznego systemu oceny jakości kształcenia, w tym również ocenę jakości wyrażaną w studenckich ankietach. Podkreślałam, że chodzi o standardy edukacyjne, nie żadne inicjatywy, propozycje, innowacje dla tych, co pierwsi w szeregu. Tymczasem u nas jeden z dziekanów odmówił ujawnienia sylwetki absolwenta. Jeden z moich znajomych określa takie postępowanie jako, mimo wszystko, nacechowane wartościami humanistycznymi. – Pomyśl – mówi mi – przecież mógł ci dać w twarz, a on zaledwie odmówił. Żarty na bok, rzeczony dziekan albo nie wie, kogo chce wypuścić z uczelni, albo nędzę proponowanego wykształcenia pragnie ukryć przed kandydatami na studia (w przypadku recydywy postaramy się nadać wydziałowi nazwę). Jeśli wierzyć „Gazecie Lubuskiej” część profesury uważa za idiotyczne pytanie studenta o ocenę prowadzonych zajęć. I nieważne, że europejskie uczelnie już od dawna ankiety studenckie włączyły do systemu oceny jakości nauczania. Tak często słyszymy, że prezentujemy europejski poziom. Jak to zwykle bywa, oceny wypadają najlepiej, gdy formułujemy je sami. Zostawmy więc, póki co, tę etykietkę „europejskości” do użyt-

ku tych, co mogą nas recenzować. A nastąpi to już niebawem, właśnie powołano Akademicką Komisję Akredytacyjną. Nasza młoda uczelnia nie ustrzegła się oczywistych potknięć. Wstyd nam przyniosła mocno spóźniona wypłata studenckich stypendiów, których wysokość nie do końca była uzgodniona ze środowiskiem studenckim. Do dziś nie wiadomo dlaczego wybory studentów do organów uniwersytetu odbyły się w sytuacji, kiedy aktu wyborczego nie umożliwiono wszystkim studentom.

Miałem okazję uczestniczyć ostatnio w nieformalnej dyskusji, podczas której okazało się, że co najmniej kilka problemów związanych ze sposobem zarządzania uczelnią i systemem organizacji wydaje się mocno dyskusyjnymi. Wielu pracowników neguje sens istnienia szkół, grupujących wydziały. Ich zdaniem rozmocy ulegają kompetencje, wewnętrzna komunikacja się niepotrzebnie wydłuża, poważne i proste sprawy muszą hierarchicznie spływać w dół drabiny kompetencji i odpowiedzialności. I co nie bez znaczenia – podraża koszty funkcjonowania uczelni. Teoretycy nauki o organizacji zalecają, by struktura instytucji była możliwie płaska, oparta mniej na hierarchii, a bardziej na profesjonalizmie i czytelnych kompetencjach. Bo wtedy jest skuteczniejsza. Dla zewnętrznego wizerunku uczelni jest raczej obojętne czy profesor ma większe czy też mniejsze uposażenie. A wizerunek taki kształtuje w pierwszym rzędzie wartość nauczania. Tymczasem na szczeblu centralnym nie ma „resortowego” prorektora i działu pomocnego dlań do wykonywania tych zadań. Zgoda, toku studiów „pilnuje” dziekan i jego aparat administracyjny, ale rolę centralnego organu dydaktycznego pełni aż trzech rektorów ds. szkół ze swoimi działami kształcenia. Na centralnym szczeblu brakuje wizjonera, który powinien zająć się organizacją systemu kształcenia, kierunkami jego rozwoju i być wysoko umocowanym egzekutorem przyjętych ustaleń. Tym bardziej, że czeka nas wdrożenie dwóch fundamentalnych systemów – kształcenia elastycznego i kontroli jakości kształcenia. Uważne śledzenie prasy łatwo przekonuje, że najczęstsza krytyka funkcjonowania uczelni dotyczy właśnie obszaru organizacji nauczania i pomocy socjalnej studentom.

Te przykłady nie wyczerpują naturalnie bogatego katalogu problemów, z którymi przyjdzie się nam zmierzyć. Nie ulega wątpliwości, że proces integracji będzie trwał jeszcze jakiś czas, nim dojdziemy do pożądanej organizacji działań. Wymaga to i spokojnej dyskusji, i uwolnienia się od patrzenia na organizację uniwersytetu przez pryzmat przymiarek personalnych. Okres jednoczenia, jaki przyjemy, to nadal proces *in statu nascendi*.

Ciekawe, że wspomniany dokument Rady Głównej posługuje się pojęciem „kwalifikowanych nauczycieli akademickich”. *A contrario* musimy się zgodzić na występowanie w przyrodzie „niewykwalifikowanych nauczycieli akademickich”. I już nie do śmiechu, gdy dotyczy to wysokich funkcjonariuszy administracji akademickiej.